Rafał A. Ziemkiewicz, DoRzeczy, nr 27, 5-11.07.2021 r.



To bardzo ważne, żeby jasno i otwarcie postawić sprawę naszej oceny żydowskich roszczeń i przestać udawać, że nie rozumiemy, o co naprawdę chodzi - że mamy tu do czynienia z całkowitym bezprawiem i próbą wymuszenia okupu

Pod jednym względem nowa odsłona konfliktu z Izraelem i amerykańskimi organizacjami żydowskimi zapowiada się dla nas lepiej niż poprzednia kampania, ta, do której pretekstem była nowelizacja ustawy o IPN, rozpoczęta atakiem izraelskiej ambasador podczas obchodów rocznicy wyzwolenia obozu Auschwitz, a zakończona chwiejnym rozejmem - wspólną deklaracją premierów Morawieckiego i Netanjahu.

Tym razem stronie żydowskiej jest dużo trudniej udawać, że chodzi jej o co innego, niż chodzi w istocie. Nowelizacja Kodeksu administracyjnego nie odnosi się w żaden sposób do Holokaustu, pamięci historycznej i innych obszarów, które żydowscy politycy i aktywiści do perfekcji nauczyli się wygrywać na rzecz swoich bieżących interesów. Nie odnosi się w sposób szczególny do mienia pożydowskiego ani nawet do reprywatyzacji. Ustanawia tylko okres przedawnienia, po którym decyzja administracyjna nie może być podważona, a więc i zmieniona.

Oczywiście stara narracja, którą Żydzi zwykli osłaniać swe roszczenia - „walczymy tylko o

pamięć i dobre imię ofiar Holokaustu; ktokolwiek wiąże nasze działania z roszczeniami majątkowymi, ten jest antysemitą propagującym oszczerczy stereotyp o żydowskiej chciwości" - została natychmiast użyta, między innymi przez znanego już z wcześniejszych ataków na Polskę Ja'ira Lapida, piastującego obecnie urząd ministra spraw zagranicznych Izraela. Wiążąc jednak tak sformułowaną nowelizację z pamięcią Holokaustu, to raczej sami Żydzi krzewią wspomniany stereotyp.

INNE OKOLICZNOŚCI

Niestety, pod innym względem nasza sytuacja jest teraz znacznie gorsza. Stany Zjednoczone Trumpa stawiały między

innymi na eksport energii, w tym gazu ze złóż łupkowych. Dlatego Europa Środkowa i inicjatywa Trójmorza były dla administracji USA ważne, a to sprawiało, że dobre stosunki z nami i perspektywy amerykańskiego handlu w regionie uważała ona za priorytetowe w stosunku do żydowskich roszczeń. Nie mogła oczywiście otwarcie odmówić im słuszności, na to żydowskie lobby polityczne w USA jest zdecydowane za silne, ale milcząco je blokowała; zresztą według wielu źródeł to właśnie nacisk USA skłonił Netanjahu do podpisania wspomnianego tu rozejmu, który pozwolił Polsce wyjść z poprzedniego sporu ze stratami, ale przynajmniej z twarzą.

Joe Biden już pierwszymi decyzjami - wstrzymaniem budowy rurociągu z Kanady na południe USA i wycofaniem sankcji blokujących budowę Nord Stream 2 - pokazał, że jako zwolennik „zielonych" technologii nie będzie popierać wydobycia amerykańskich surowców, a politycznie zamierza oprzeć się w Europie na osi Berlin-Moskwa. Ameryka pod jego rządami nie potrzebuje nas więc ani jako partnera politycznego, ani jako rynku zbytu, więc wszelkie wrogie Polsce działania dostają dziś od niej zielone światło. Sygnałem, którego nie można zignorować, jest to, że zanim jeszcze odezwały się ambasada Izraela i organizacje żydowskie, jako pierwszy wystąpił przeciwko nowelizacji pełniący obowiązki ambasadora USA Bix Aliu, w liście do marszałek Sejmu posuwając się do bezprecedensowej w swej bezczelności sugestii, że taka ustawa nie powinna być w ogóle procedowana, ponieważ jego kraj sobie tego nie życzy.

Bez zmian pozostaje natomiast zastosowana przez Izrael i amerykańskie organizacje żydowskie strategia. Powtórzmy w największym skrócie: ponieważ roszczeń, szczególnie ich najpotężniejszego segmentu „mienia bezspadkowego", które wspomniane organizacje szacują nawet na 300 mld doi., nie da się uzasadnić prawem, trzeba sięgać po argument moralny. Argument ten można oprzeć tylko na powszechnej zgodzie co do tego, że zbrodniarz nie powinien dziedziczyć po ofierze, czerpać ze swej zbrodni zysków. Aby zadziałał, trzeba więc zbudować trwałe przekonanie, że Polska jest sprawcą Holokaustu, a zatem, że w drugiej wojnie

światowej była sojusznikiem Hitlera, a nie jego ofiarą.

PRZEMYŚLANA KAMPANIA KŁAMSTW

I to właśnie nowojorskie organizacje robią konsekwentnie, krok po kroku, od momentu, gdy upadek ZSRS i wyjście Polski zza żelaznej kurtyny dały im nadzieję obfitego połowu. A gdzie łup zapowiada się obfity, tam warto wykazać się cierpliwością, podchodzić długo i zakładać pułapki przemyślnie, by ofiary nie spłoszyć. Z dzisiejszego punktu widzenia widać wyraźnie, że kampania mająca przekonać świat, a nawet samych Polaków, o naszym współsprawstwie w Holokauście, miała charakter przemyślany, a użycie w niej wszystkich możliwych narzędzi - zakłamanych pseudohistoryków, popkultury, celebrytów, mediów - realizowało kolejne etapy i wbrew polskim nadziejom, że mamy do czynienia z jakimiś incydentalnymi nieporozumieniami, na każdym z owych etapów sięgano dalej, wysuwając coraz bardziej absurdalne tezy: aż do obecnych twierdzeń, że „Polacy zabili w czasie wojny więcej Żydów niż Niemców" i zmyśloną przez Jana Grabowskiego liczbę „200 tys." rzekomych ofiar polskich kolaborantów Hitlera.

Niewątpliwie kluczowa była tu sprawa zbrodni w Jedwabnem - pamflet Jana Tomasza Grossa, kłamliwy, manipulatorski, niewytrzymujący nie tylko historycznej krytyki źródeł, lecz także testu zwykłego zdrowego rozsądku (1,6 tys. ofiar spalonych w jednej stodole albo spontaniczny charakter pogromu, w którym zginęło za jednym zamachem praktycznie 100 proc, zaatakowanej populacji!), a bardziej jeszcze niewczesne przeprosiny ówczesnego prezydenta RP Aleksandra Kwaśniewskiego, złożone bez żadnego ustalenia faktów, postawiły nas w oczach świata dokładnie w zaplanowanym miejscu, u boku III Rzeszy. Było to zresztą tym łatwiejsze, że od momentu odkrycia przez Niemców grobów w Katyniu amerykańskie i angielskie media czasu wojny tak właśnie o polskich legalnych władzach w Londynie i dowództwie PSZ pisały, pod dyktando sowieckiej propagandy powielając jej przekaz, że wskutek obsesyjnej nienawiści do Rosji Polacy de facto sprzyjają Hitlerowi, a nie aliantom.

Te podłości, wyprodukowane w czasie wojny w Moskwie i chętnie podejmowane w Londynie i Nowym Jorku, dzięki Grossowi i Kwaśniewskiemu pozostają żywe do dziś i nie budzą już na Zachodzie sprzeciwu ani zdziwienia tezy tak karkołomne jak to, że Polacy są winni wojny i Holokaustu, bo wskutek swego antysemityzmu nie zgodzili się w 1939 r. na zawarcie sojuszu z ZSRS - ani publikacje takie, jak niedawny artykuł w „Los Angeles Times", który mianował Niemców „mistrzami" w rozliczeniu się ze swych win, Polaków zaś napiętnował jako tych, którzy do dziś się swojej odpowiedzialności za Shoah wypierają.

„Myśmy w getcie marzyli o wujku Roosevelcie jako naszym zbawcy, myśmy wierzyli, że te wszystkie Morgentauy, Baruchy i Frankfurtery nas uratują, zrobią coś. A oni wszyscy się na nas

wypięli. Zygielbojm nikogo nie obchodził, raporty Karskiego nikomu nie były potrzebne. Za to 50 lat po wojnie okazało się, że ci sami ludzie albo ich następcy chętnie wezmą finansowe zadośćuczynienie za swoich, wtedy zdradziecko opuszczonych, rodaków" - mówił w wywiadzie dla „Rzeczpospolitej" w sierpniu 2000 r. „Strażnik niewygodnej pamięci" Antoni Marianowicz. Nie był to jedyny taki głos. Forum Żydów Polskich przypomniało w ostatnich dniach memoriał, który wysłało Władysławowi Bartoszewskiemu przed jego wyjazdem, jako polskiego ministra spraw zagranicznych na opłakaną dla nas w skutkach konferencję w Terezinie - jednoznacznie wykazujący bezpodstawność roszczeń amerykańskich organizacji żydowskich i, co ważniejsze, zbijający ich argumenty. Dlaczego Bartoszewski zupełnie pismo Forum Żydów Polskich zignorował - dzisiaj już nie sposób go zapytać. Deklaracja terezińska, w której w niejasny sposób zadeklarowano przekazywanie „mienia bezspadkowego" na „upamiętnianie zbrodni i jej ofiar", „działania edukacyjne" oraz „wsparcie dla żyjących jeszcze ofiar", zaaprobowana została przez ówczesny rząd w tajemnicy przed społeczeństwem, nie toczyła się na ten temat żadna debata, nie podano nawet podstawowych informacji.

Nie można więc powiedzieć, że Polska nie miała w ręku argumentów, które - umiejętnie użyte (czy raczej: w ogóle użyte] - mogły stępić czy w ogóle złamać ostrze moralnych zarzutów o winy wobec Żydów i antysemityzm, używanych przy tym wymuszeniu.

Odpowiedź polskich elit na haniebne pogróżki, wygłaszane nie przez byle kogo, tylko przez samego lidera Światowego Kongresu Żydów - „Miliony Żydów zginęły w Polsce i my nigdy nie pozwolimy, by Polacy po nich dziedziczyli... Polska będzie atakowana i upokarzana na arenie międzynarodowej dopóty, dopóki nie zaspokoi roszczeń" - była po prostu niepojęta. Większą troską „elit" III RP - niż odpowiedzieć na nie z odpowiednią mocą - było raczej nie pozwolić, by ogół Polaków się o tych słowach dowiedział, bo to oczywiście mogłoby obudzić „demony polskiego antysemityzmu", straszące na dworze Michnika.

Politycy i liderzy opinii ówczesnego mainstreamu wybrali strategię biegunowo odwrotną, niż nakazywały polski interes i elementarny zdrowy rozsądek. Jakąś dziwną formę „appeasementu", opartą na przekonaniu, że „czas na szczere wyznanie win" wobec Żydów i że wyznanie takie „oczyści atmosferę wzajemnych relacji". Gdy nieliczni dopuszczani wtedy do debaty publicznej publicyści niezwiązani z lewicą i „salonem" Michnika protestowali przeciwko publicznym przeprosinom prezydenta za Jedwabne, zanim w ogóle ustalono, co tam się stało i kto był sprawcą zbrodni, zakrzykiwano ich, że „choćby nawet tylko jeden Polak" uczestniczył w tej zbrodni, to i tak jest to „hańba całego narodu" i „trzeba mieć odwagę się do tego przyznać".

Zamiast przedstawiać Polakom i światu historyczną prawdę, salony michni- kowszczyzny, przeciwnie, zachłystywały się „Biednym Polakiem patrzącym na getto" Błońskiego i wierszem

Miłosza „Campo di Fiori" oraz licytowały się w kabotyńskich gestach, mających podkreślić moralną wyższość tych, którzy szczerze i odważnie biją się w pierś, nad tymi, którzy tego odmawiają. Właśnie to poczucie wyższości jest kluczem do zrozumienia ich postawy - w istocie było to przecież bicie się w piersi cudze, polska „inteligencja", bo tak chciała się identyfikować wspomniana formacja, wyznawała światu winy polskich „chamów", a zgoła wręcz na owych „chamów" donosiła. Oskarżenie Polaków o antysemityzm, wpisanie tego antysemityzmu w nienawistną dla liberalnych salonów tradycję polskiego patriotyzmu i katolicyzmu było jednym z głównych motywów wyższościowego dyskursu michnikowszczyzny, zarazem uzasadniając pogardę „elit" dla niższych klas społecznych i ich najwyższe mniemanie o sobie samych.

Mając takich sojuszników wewnątrz Polski, nowojorscy Żydzi mieli prawo nabrać przekonania, że operacja wyduszenia z nas wielomiliardowego okupu jest do przeprowadzenia. Tym bardziej że zmiana u sterów państwa niewiele tu zmieniła.

Ze strony odsuniętego „salonu" zajadłość w wywijaniu pałką „polskiego antysemityzmu" nawet się zwiększyła, a nowa władza, wbrew oczekiwaniom, nie umiała i odtąd nie umie zdobyć się na stanowcze postawienie spraw i nazwanie po imieniu złej woli środowisk prowadzących tę kampanię - po prostu złą wolą. Elity „PiS -owskie" tkwią co do spraw polsko-żydowskich w inteligenckich złudzeniach, których wzorcem pozostaje dla nich śp. Lech Kaczyński: wszystko to jest kwestią nieporozumień, które trzeba wyjaśnić, i jeśli tylko okażemy Żydom dobrą wolę, to i oni okażą ją nam. Wciąż myślą więc w kategoriach „niezadrażniania" i kierują się politycznym wyrachowaniem, że emocje związane z - umownie mówiąc - „447" służą politycznej konkurencji na prawicy. Konfederacji.

Otóż taka postawa jest wręcz wymarzona dla sprawców „rewindykowania mienia bezspadkowego", po których żadną miarą nie można się spodziewać dobrej woli.

NAZWIJMY TEN PROCEDER

Tym bardziej że ostatnio ujawnia się jeszcze jeden, coraz silniejszy element tej gry w łupienie bezradnych Polaków. Zwróćmy uwagę, że w obecnej kampanii środowiska żydowskie występują już nie tyle o to, aby reprywatyzacja w Polsce przebiegała w sposób uwzględniający ich roszczenia, ile żeby nadal nie było jej w ogóle, żeby przeciągał się w nieskończoność stan obecnego chaosu prawnego. Jest to żywotnym interesem zagranicznych, głównie amerykańskich kancelarii prawniczych, które w ostatniej dekadzie wyspecjalizowały się w „dzikiej reprywatyzacji" na wielką, omalże już przemysłową skalę.

Ten proceder, cichy, ale zyskowny, rozpisany na wiele pojedynczych postępowań, przebiega według wzorca znanego nam z „reprywatyzacji" warszawskiej. Zagraniczni prawnicy nabywają roszczenia od kogoś, kto miał polskie korzenie albo nazywa się podobnie jak przedwojenny właściciel „mienia bezspadkowego", najlepiej z niewielkich miejscowości - z wykorzystaniem wszystkich znanych z Warszawy nieuczciwych sztuczek, w rodzaju potwierdzonych notarialnie w Urugwaju upoważnień od obywatela, którego ostatni raz widziano w 1943 r. na rampie w Auschwitz, ale formalnie nigdy nie stwierdzono jego śmierci - a następnie realizują je w polskich sądach, które przecież jakie są, każdy widzi. Ze strony polskiej nie ma wciąż nawet szacunkowych danych, ile takich spraw mieliśmy w ostatnich latach, jak wielkie roszczenia zaspokojono i przede wszystkim ile postępowań się toczy. Furia ataku na wprowadzenie do KPA jednej prostej nowelizacji pokazuje jednak wyraźnie, że zyski ciągnięte z reprywatyzacyjnego procederu muszą być nieliche.

Są powody, by obawiać się, że po raz kolejny wrogom Polski uda się wykorzystać do swoich celów polsko-polską wojnę. Słyszy się już, że dla opozycji sprawa okupu dla organizacji żydowskich, jak każda inna, jest tylko okazją do uderzenia w PiS i zastosowania po raz kolejny zasady „im gorzej, tym lepiej". Wprawdzie Senat nie jest w stanie zablokować ustawy, może ją jedynie wstrzymać o miesiąc, ale nawet symboliczne rozbicie jedności Polaków będzie nam bardzo szkodzić. Także z tego powodu jest bardzo ważne, żeby jasno i otwarcie postawić sprawę naszej oceny żydowskich roszczeń i przestać udawać, że nie rozumiemy, o co naprawdę chodzi, że mamy tu do czynienia z całkowitym bezprawiem i próbą wymuszenia okupu za odstąpienie od „atakowania i upokarzania" Polski. Bardzo wskazane byłyby dwa posunięcia: wypowiedzenie Deklaracji terezińskiej i wyraźne opowiedzenie światu haniebnej postawy Żydów amerykańskich wobec Holokaustu wtedy, gdy zbrodni dokonywano. Zamiast już teraz dawać sygnały, jak uczynił to jeden z posłów PiS, na szczęście tych mniej mających do powiedzenia, że „być może trzeba będzie zrobić krok wstecz", trzeba mówić światu jasno i wyraźnie: nikt nie ma prawa do „mienia bezspadkowego" po ofiarach, ale szczególnie nie mają takiego prawa Żydzi amerykańscy.

Bez tego zapowiedź premiera Morawieckiego „ani złotówki, ani dolara" pobrzmiewa niebezpiecznie historycznym „ani guzika".

Szwajcarska lekcja

Piotr Włoczyk

